

WSPOMNIENIE O PROFESORZE JERZYM KACZYŃSKIM (14 MAJA 1951 – 8 LIPCA 2022)

Wśród ponurych wydarzeń *annus horribilis* 2022 batoracy policzą niespodziewaną śmierć profesora Jerzego Kaczyńskiego, najstarszego stażem nauczyciela w szkole. Niezwykłą, barwną postać mojego łacinnika opiszę tak, jak umiem – z punktu widzenia osobistego.

Pozostawaliśmy przez lata w kontakcie sporadycznym, ale był jedną z najbliższych mi osób, jak nikt inny, z wyjątkiem najbliższej rodziny, naznaczył moją drogę życiową. To za jego sprawą podjąłem studia na filologii klasycznej w Uniwersytecie Warszawskim, gdzie teraz pracuję – choć zajmuje mnie raczej poezja grecka niż literatura Rzymian, co mi żartobliwie wytykał („Brrr... Greka. Okropność” – to cytat z rozmowy w internetowym komunikatorze). Profesor Jerzy Roman Kaczyński, nauczyciel łaciny w liceum Batorego w latach 1975-2022, zasługuje na obiektywny opis życia i kariery szkolnego łacinnika oraz popularyzatora kultury antycznej. Miał zasługi na obu polach i choć musiał się mierzyć ze świetnymi tradycjami nauczania łaciny w Batorym – opisuję je w osobnym eseju – przez blisko pół wieku swojej pracy zapisał się w dziejach szkoły jako najważniejszy z łacinników i jeden z najbardziej oryginalnych nauczycieli. Na miarę moich zdolności ofiarowuję mu jednak wspomnienie nieuporządkowane i nieco intymne.

Prof. Kaczyński, Jerzy, Jurek – przeszedł ze mną na „ty”, jeszcze zanim skończyłem liceum, gdy w IV klasie przygotowywał mnie do olimpiady (zostałem jej laureatem, zajmując miejsce tuż za podium).



Prof. Jerzy Kaczyński
fot. z archiwum Jerzego Kaczyńskiego, Facebook

Pewne fakty trzeba podać. Urodził się w roku 1951, maturę w warszawskim liceum Hoffmanowej zdał w roku 1969. Podjął studia na filologii klasycznej w Łodzi, wspominał greków – prof. Annę Marię Komornicką i dr. Józefa Macjona – ale utrzymywał, że całą grekę zapomniał, interesowała go łacina i kultura Rzymian. Pod kierunkiem prof. Bohdana Wiśniewskiego napisał pracę magisterską zatytułowaną *Życie towarzyskie i rozrywki Rzymian na podstawie dwunastu ksiąg epigramatów M. V. Martialis (lata 85–102)*. Odbijają się w tym temacie zainteresowania, którym na zawsze pozostał wierny: poezja rzymska, życie codzienne w Rzymie, epikureizm, stosowany również w praktyce. Pierwsza niedyskrecja: pamiętam, że gdy w czasie moich studiów narzekałem, iż wielu moich kolegów i koleżanek trafiło na warszawską filologię klasyczną przypadkowo, powiedział:

– Myślisz, że ja planowałem studiowanie filologii klasycznej?

Jest miarą sukcesu łódzkich filologów, że potrafili wpoić pasję do antyku i Śródziemnomorza studentowi Jerzemu Kaczyńskiemu. Jednemu i drugiemu pozostał wierny na całe życie, co objawiało się i w jego działalności pedagogicznej oraz popularyzatorskiej, i w zamiłowaniu do podróży do krajów nad Morzem Śródziemnym. Fotografiami z tych wojaży dzielił się na Facebooku, jak tą z Pont Neuf w Paryżu – z roku 1974, gdy ukończył studia, a tuż przed rozpoczęciem pracy w Batorym.

Pracę w Batorym zaczął 1 maja 1975; jak wspominał, maj i czerwiec przepracował w bibliotece, a jego kariera nauczycielska ruszyła 1 września. Trwała do 2022 roku, gdy zaplanował przejście na emeryturę – lecz w tragicznym splocie losu w czerwcu zachorował, a na początku wakacji zmarł (miał raczej grecki poeta Symonides, że nawet machnięcie skrzydełka muchy nie jest tak prędkie jak odmiana losu). Odszedł więc niejako pełniąc służbę, tak jakby poza pracą nic nie było – a przecież tak pięknie potrafił się cieszyć drobnymi przyjemnościami życia.

Nauczycielem był niepospolitym. Wspominał (cenna możliwość zajrzenia za kulisy warsztatu wieloletniego pedagoga!), że u początków praca w klasie była dla niego stresująca, a jako specyficzne wyzwanie, przyczyniające się do zdenerwowania, wymienił nauczanie Moniki Kubiakówny (obecnie Lapaczewski), córki słynnego znawcy antyku, Zygmunta Kubiaka. W moich czasach był nauczycielem uchodzącym za wymagającego i srogiego, takiego od odpytywania i kartkówek, które część uczniów i uczennic przypisywały o ścisk żołądka przed lekcją. Ze wspomnień o nim dowiedziałem się, że tę belferską pozę znaną mi z lat dziewięćdziesiątych przyjmował i wcześniej, ale potrafił być w kontaktach z uczniami ujmująco bezpośredni. Jaki był w późniejszych latach – nie wiem, ale wiem, że zawsze była grupa uczniów, którą potrafił porwać i tym, jak uczył, i tym, jaki był.

Szczycił się i cieszył wszystkimi swoimi finalistami i laureatami olimpiady łacińskiej oraz wychowankami, którzy odnieśli sukcesy na niwie starożytnej, jak prof. Krystyna Stebnicka z Wydziału Historii UW czy dr Wojciech Wciórka, w swoim czasie laureat olimpiady języka łacińskiego, obecnie zatrudniony w Zakładzie Historii Filozofii Starożytnej i Średniowiecznej UW (nie wspominam wielu osób, które wspominał Jerzy). Wpłynął więc na życie niektórych wychowanków, moje wręcz ukształtował. Kibicował mi w jego ważnych etapach. Był obecny, gdy odbierałem swoje olimpijskie laury, był i na mojej obronie doktoratu – po niej wśród uczelnianego towarzystwa, z lampką szampana w dłoni, w jednej ze swoich kolorowych marynarek wygłosił przemowę na moją cześć. Potrafił zwracać uwagę.

Poza uczniami i uczennicami zdradzającymi talenty latynistyczne otaczał opieką praktykantów – studentki i studentów filologii klasycznej przysyłanych do Batorego, by wypracowali pod okiem Jerzego wymagane do zdobycia uprawnień nauczycielskich praktyki. O jego troskliwości świadczy anegdota, którą opowiedział mi dr Maciej Staniszewski, wykładowca w Instytucie Filologii Klasycznej UW. Któregoś dnia trafił na te praktyki wyjątkowo niewyspany, jak to w życiu studenta bywa, a na dodatek na skutek wypadku postradał

okulary. Jerzy podszedł do sytuacji ze zrozumieniem, pozwolił mu zebrać siły w tylnej ławce – a więc praktyki zostały poprzedzone hospitacjami – i na dodatek pożyczył mu swoje okulary. Wspomnienia moich własnych studenckich praktyk w Batorym mieszają mi się ze wspomnieniami wizyt przy innych okazjach: luz opiekuna praktyk, rady, jak zapanować nad klasą, niepodobna do niczego w świecie atmosfera pokoju nauczycielskiego w Batorym, papierosy wypalone z Jurkiem najpierw tamże, potem w palarni (teraz w szkole obowiązuje całkowity zakaz palenia, więc może nauczyciele-palacze uciekają za róg szkoły, tzw. winkiel, tak jak my w szkolnych latach?).

Tych, którym przekazał zamiłowanie do świata starożytnego, ujął z pewnością, jak i mnie, nie tylko tym, jak potrafił wpoić prawidła gramatyki łacińskiej – a była to bardzo porządna szkoła – ale tym, że zaciekawiał nas, dobierając teksty ukazujące barwność świata Rzymian, i szerszym oddechem, z jakim ukazywał obecność antyku w kulturze późniejszej. Pamiętam czytanie trójcy autorów szkolnych, wówczas obowiązkowych na olimpiadzie: Neposa, Cezara i Cyserona, a także zawsze popularnych w szkole poetów: Wergiliusza, Owidiusza i Horacego, ale również technicznego, lecz fascynującego traktatu o rzymskich akweduktach Frontyna i przede wszystkim Petroniusza: zachowane fragmenty *Satyriconu*, owej rzymskiej powieści wrzucającej czytelnika w środek italskiego świata sprzed 2000 lat, ceniał szczególnie. Puszczał nam też *Satyricon* Felliniego. Średniowieczny tekst *Requiem*, w którym wyszukiwaliśmy formy imiesłowu czasu przyszłego, ilustrował puszcżając wykonanie utworu Mozarta w wykonaniu Filharmoników Berlińskich pod batutą von Karajana. W ramach intensywnego dokształcania uczestnika zmagani olimpijskich polecił mi przygotować lekcję na podstawie parafrazującej Horacego *Ody do dzban*a Kochanowskiego, choć nie było to przedmiotem olimpiady.

Był zresztą polskim horacjanistą, jakich się już nie spotyka. Zostawił niewydaną książeczkę o Horacym (przeszkodą jest zawarta tam antologia różnych tłumaczeń, do których trudno pozyskać prawa), z której pewne części zamieściliśmy w „Meandrze”, czasopiśmie poświęconym kulturze antycznej (łatwo wyszukać te prace na stronie <https://journals.pan.pl/meander/>). Ucieszyłby się Jerzy, gdyby wiedział, że – jak dowiedziałem się z internetowego odzewu na wiadomość o jego odejściu – jego esej o tłumaczeniu Horacego jest przedmiotem dyskusji na mediteranistyce na Uniwersytecie Śląskim, gdzie studenci zastanawiają się wraz z autorem, dlaczego Horacy zachęca Leukonoe do klarowania wina, co może popsuć jego smak. Ostatni wyimek z tej pracy o ulubionym poecie Jerzego zamieściliśmy w „Meandrze” z 2021 r. Jest to przekład uroczej przedwojennej ramotki o Horacym francuskiego autora, który opisuje swoje spotkanie z rzymskim poetą na Champs-Élysées, na wzór *Satyry* Horacego o spotkaniu z natrętem. Kolejny znak – to chyba ostatnia drukowana rzecz Jerzego. Wyobrażam sobie, że teraz on się przechadza z Horacym na innych Polach Elizejskich.

O antyku pisał z wielką klasą. Lubiłem natykać się na jego eseje poświęcone kulturze antycznej drukowane w dawnych numerach „Mówią Wieki”. Na którymś z facebookowych forów, gdzie chętnie pisywał w ostatnich latach, zanotował na marginesie lektury niedawnego numeru „Meandra”:

„Zabrałem się za wywiad z panią profesor Ewą Wipszycką-Bravo. I przeczytałem go z łezką w oku. Pani profesor bowiem w jakiś sposób podbudowała mnie w mojej «karierze» (jakże skromnej)... Lata temu w jakiś sposób – nie pamiętam już jak – znalazła mnie i zaproponowała publikowanie w «Mówią Wieki». Pierwszy tekst był bodaj o grach w Rzymie. Dziękuję, pani profesor! To było ważne dla (wówczas) młodego nauczyciela”.

Był wielbicielem i tłumaczem francuskiego historyka Pierre’a Grimala, spolszczył jego książki *Seneka* i *Miłość w Rzymie*. Temat życia erotycznego Rzymian zawsze żywo interesował



Na Pont Neuf w Paryżu, 1974 r.

Fot. z archiwum Jerzego Kaczyńskiego, Facebook

Jerzego; opowiadał mi, jak w ramach badań nad nim prowadzonych w Italii dostał się kiedyś do muzealnego magazynu z artefaktami z Pompejów. Strażnik otworzył skrzynię z terakotowymi fallusami, które przybysz z Polski począł z namaszczeniem oglądać – ku rosnącemu pomieszanemu pruderyjnego włoskiego funkcjonariusza, z trwogą obserwującego te bezceństwa.

Występował w audycjach radiowych, w których erudycyjnie opowiadał o świecie starożytnym. Warto wyszukać któryś z tych podcastów i posłuchać głosu równie charakterystycznego jak jego sylwetka. Nie wymawiał poprawnie „r” (niczym Demostenes), z czego zwykł żartować na pierwszych lekcjach, zapowiadając, że problemem będzie i usłyszenie, i odczytanie jego „r” (zapisywał tę literę na sposób francuski, co pewnie nie tylko ja próbowałem naśladować).

Ten cudowny dystans do siebie brał się z równie wspaniałego poczucia własnej wartości, którym promieniował. I słusznie, bo był nie tylko wybornym łacinnikiem i erudytą, ale też znawcą sztuki życia – trochę na wzór Petroniusza opisanego przez Tacyta i Sienkiewicza jako *arbiter elegantiarum*, trochę na modłę horacjańsko-epikurejską. Przypominam sobie, jak opowiadałem o moim nauczycielu koledze-współzawodnikowi z olimpiady łacińskiej: przedstawiłem moją teorię, że to znawca antyku o niezwykłych zdolnościach, które jednak ujawnia wstrzemięźliwie, kierując się epikurejską zasadą *lathe biosas* („żyj w ukryciu”). Warto wspomnieć, że z karierą nauczycielską harmonijnie łączył przez lata „pracę w turystyce”, jak nazwał wakacyjne zajęcia pilota wycieczek, które ułatwiało mu podróże do ukochanych krajów Śródziemnomorza. Ze wzruszeniem odnalazłem w internecie uroczne reminiscencje jego podróży – zbiór recenzji knajp z Polski i Europy w jednym z turystycznych portali. Przebijają z nich umiejętność delektowania się urokami życia i tylko sporadycznie pewien ton krytycyzmu w podejściu do świata, który też go cechował. Wszystko to jakoś się odbija w anegdocie, którą

po śmierci Jerzego zamieścił na Facebooku jego przyjaciel Dariusz Zarzycki, w moich szkolnych latach bardzo lubiany polonista z Batorego:

„Jechaliśmy kiedyś z Jurkiem na Słowację. Ja za kierownicą. Noc, góry, śnieżycą, ścieżka, którą jechaliśmy, pokryta lodem. Nie wyrobiłem się na zakręcie. Przednie koła zawisły nad urwiskiem, oblał mnie pot. Niewiele brakowało. Spojrzałem na Jurka.

– No co się patrzysz? Spróbuj wycofać.

Potem, nad ranem, jak już dojechaliśmy, zapytałem, czy się nie przestraszył. Odpowiedział:

– Darek, ja mam do ciebie zaufanie”.

Przez lata utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt, dla mnie niezwykle ważny. Ostatnio sporo rozmawialiśmy przez telefon w związku z zaplanowanym przez Jerzego zakończeniem kariery pedagogicznej i wspólnymi zabiegami, by utrzymać łacinę w Batorym, a także i w związku z moim rocznym pobytem w Rzymie. Podpowiadał, co zobaczyć w Rzymie, uderzył mnie jego pogodny nastrój i ciepło tych konwersacji. By zaważać o zachowanie lekcji łaciny, napisałem esej opublikowany najpierw po polsku w portalu Pulsar (<https://www.projektpulsar.pl/opinie/2170941,1,requiem-dla-lekcji-laciny.read>), a później po angielsku (<https://antigonejournal.com/2022/07/requiem-latin-classes/>). Dałem znać Jurkowi, że go piszę, i podpytywałem o dobór fotografii. Odpisywał zdawkowo, napisał, że jest w szpitalu z dość poważną chorobą. Przypominałem sobie jakieś jego wcześniejsze problemy medyczne, uznałem, że może trochę przesadza. Ale gdy niedługo później napisałem mu, że ukazał się zapowiadany artykuł celebrujący jego karierę, już nie odpisał.

Z jednego z esejów Jerzego o Horacym, zamieszczonych w „Meandrze”, pochodzi urywek w niezwyklej sposób ujmujący i doświadczenie szkolnego łacinnika-rutyniarza, i talent Jerzego do niebanalnej lektury tekstów starożytnych, tu odniesionej do własnej refleksji egzystencjalnej:

„Ale też właśnie na owych lekcjach, rozbrzmiewając latami w belferskim uchu, słowa nabierają nowych znaczeń, dziwiąc się sobie nawzajem. Jak choćby w tylekroć powtarzanej pieśni do Taliarcha (I 9), kiedy znany, wydawałoby się, do znudzenia tekst nagle odkrywa przed nami swoje niedostrzeżone dotąd znaczenie [...]. W przekładzie jednego z najlepszych polskich tłumaczy Horacego, Adama Ważyka:

Spójrz jak wysoko jasna od śniegu

strzela Sorakte jak przynięciony

wielkim ciężarem las się ugina

i mróz okrutny ściał rzeki

[...] Idąc tropem analizy początkowych wersów spróbujmy przyjrzeć się dokładnie obrazowi stworzonemu przez Horacego w pierwszej zwrotce pieśni. Na pierwszy rzut oka to uroczy, nieco «pocztówkowy» obrazek. Lśniący biały puch pokrywający wszystko, na drzewach czapy śniegu. Prawie słyszymy stłumiony łoskot, kiedy, od czasu do czasu, osypują się z gałęzi. Spróbujmy jednak głębszej analizy, jakbyśmy mieli do czynienia z dziełem plastycznym, rozważmy układ kompozycyjny. Pionowa, strzelająca w górę Sorakte. Uginające się – więcej, *laborantes*, a więc trudzące się, cierpiące pod ciężarem śniegu gałęzie drzew i wreszcie zamrożnięta w poziomym bezruchu rzeka. Pion, pochylenie, poziom. Czyż nie jest to obraz życia człowieka – jego młodości, wieku dojrzałego – czasem wieku kłęski, a zawsze uginania się pod ciężarem przeżyć, wreszcie – śmierci?”.

Jan Kwapisz
(matura 2000)